

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

## FABRYKANT MUMII.

17)

Tłum. z francuskiego.

— 160 wolt, 110 milamperów, — mruknął rudy człowiek, spoglądając na manometr. — Oto siła toku, która może zabić na miejscu woltu, ważącego 500 kilo, a która dzięki moim transformatorom tak się zmieniła, że sprowadza jedynie spokojny sen. Tok, przerywany sto razy na sekundę, nie traci nic na swej sile. Jeżeli doświadczenie przeciągnie się przez parę minut, serce przestanie bić. I człowiek ten umrze bez najmniejszego bólu, gdyż od pierwszej chwili ośrodki nerwowe mózgu są znieczulone lepiej i dokładniej niż przy pomocy chloroformu.

— Oto, co można nazwać prawdziwą tajemnicą elektryzacji! Ale — dodał, przerywając szybko tok — nie chcę wcale śmierci tego człowieka. Mogę panu coś lepszego ofiarować, panie Sebastyanie Blanc.

W tej chwili połączył cewki w inny sposób. Tym razem skutek był nadzwyczajny. Sebastyan zerwał się z krzesła, otworzył obłąkane oczy i odruchowo podniósł do twarzy skurczone ręce. Czuł, że myśli kręcą mu się pod czaszką, jak garść suchych liści na wietrze, nie był w stanie zatrzymać żadnej, wszystkie wymykały mu się. Mózg stawał się pustym. Było to szaleństwo.

Ta myśl potworna, jedyna, jaką mógł sobie uświadomić, rzuciła go na kolana przed wrogiem. Załamał ręce i ciężko szlochał. Nie mógł mówić — język miał sparaliżowany, ale lzy jego były wymowne. Błagał niemi o litość, o zaniechanie zemsty, najstraszliwszej, jaką mógł wymyślić mózg ludzki.

Czy rudy człowiek zlitował się nad swą ofiarą, czy też uważał, że doświadczenie jest skończone, dość, że przerwał tok i podał rękę Sebastyanowi, który podniósł się automatycznie i usiadł pokornie na krześle.

Rysy jego uspokoiły się i powoli przybierały wyraz zupełnej bezmyślności. Nie zdawał się już cierpieć, z twarzy znikły ślady przerażenia. Ale włosy zbijały mu zupełnie, a oczy utkwione były nieruchomo w oczach jego kata, który przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Oto — rzekł tamten — mózg pozbawiony najzupełniejszej orientacji. Działanie przerywanego toku jest rzeczywiście nadzwyczajne. Obezwładnia z początku ośrodki mózgowe, w których rodzą się myśli. Następnie, wskutek reakcji, komórki zaczynają pracować, ale działanie toku jest tak gwałtowne, że plącza myśl i nadają jej kształt odwrotny. Ostatnie sylaby słów stoją z początku, a pierwsze wyrazy zdania znajdują się na końcu. Ten człowiek mógłby teraz mówić, ale nikt go nie zrozumie.

Żeby sprawdzić to, rudy mężczyzna spojrzął na Sebastyana takim wzrokiem, że ten nie był w stanie znieść go. Zamknął oczy i cofnął odruchowo głowę, jakgdyby spojrzenie to miało siłę uderzenia.

Ale nielitościwy dręczyciel położył palce na powiekach swej ofiary i otworzył je. Później pociągnął szybko palcami kilkanaście razy koło oczu detektywa i spojrzął w nie głęboko.

— Czy poznaje mnie pan?

— Usta biedaka poruszyły się, ale nie rzekł nic. — Proszę mówić! — rzekł rudy człowiek rozkazująco. — Rozkazuję panu!

I powtórzył swe pytanie:

— Czy poznaje mnie pan?

Przerażenie odbiło się na bladej twarzy detektywa. Przeciągnął ręką po zmarszczonym silnie czole. Zdawało się, że czyni nadludzkie wysiłki, żeby sformułować swą myśl i wreszcie z warg jego wyszedł ten dziwny dźwięk:

— Mimu kantbryfa...

Twarz nieszczęśliwego wyraziła straszne zdziwienie, gdy usłyszał wychodzące z własnych ust dziwaczne słowa.

Ale rudy mężczyzna zdawał się rozumieć je, gdyż rzekł głośno:

— Tak, jestem Fabrykantem mumii. Ale kim jestem prócz tego? Kim?

Jednocześnie zerwał rudą brodę i maskę, zakrywając mu twarz i przysunął się tak blisko, że jego błyszczące oczy prawie dotykały detektywa.

Nieszczęśliwy wybuchnął śmiechem szaleńca i zawołał głosem, w którym nie było nic ludzkiego:

— Av tordok...

Ale oprawca przerwał mu kilku szybkimi poruszeniami ręki, potem, patrząc mu w oczy, rzekł powoli, wymawiając wyraźnie i dobitnie każde

słowo, jak gdyby pragnął wbić je w mózg swej ofiary:

— Nie, pan się myli. Ja nie jestem Fabrykantem mumii. Fabrykantem mumii jest pan Ducroc, szef bezpieczeństwa, pan słyszy?

Sebastyan poruszył się i otworzył usta...

Czy chciał protestować?

Ale piorunującym spojrzeniem rudy człowiek zniszczył ostatni odruch buntującej się woli.

— Powtarzam panu, że Fab-ry-kan-tem mu mii jest pan Duc-roc... pan Duc-roc... pan Duc-roc... wierzy mi pan teraz?

— Tak... tak... tak... — odparł nieszczęśliwy detektyw kilkakrotnym kiwnięciem głowy.

— Dobrze... Pójdzie mu pan to powiedzieć, pan sam jutro... jutro rano w jego gabinecie.

— Tak... tak... — zgodził się Sebastyan wciąż kiwając głową.

— I to będą ostatnie zrozumiałe słowa, jakie pan w, powie w życiu.

Tym razem Sebastyan nie odpowiedział. Wolę jego zabito, ale myśl w nim żyła jeszcze... Ale straszliwa siła jego wroga zamknęła tę myśl pod czaszką, jak w trumnie, z której nigdy już nie będzie w stanie wydostać się.

Męczarnie przechodziły jego siły. Gardło ścisnął kurcz, pierś podniosła się szlochaniem, opuścił głowę i cicho płakał...

## ROZDZIAŁ XXIII.

Tajemnicza współniezka.

P. Ducroc od godziny chodził gorączkowo po swym gabinecie od drzwi do okna, zatrzymując się co chwila przy oknie, żeby wyjrzeć na ulicę i przy drzwiach, żeby nasłuchiwać.

I znowu rozpoczynał swą przechadzkę, z rękami założonymi na plecy, z oczyma spuszczone. Niepokój nie pozwalał mu usiedzieć na miejscu: od dwóch dni nie miał wiadomości od Sebastyana — wbrew jego obietnicy, że da znać o rezultacie swych poszukiwań na drugi lub najdalej na trzeci dzień po rozmowie w opuszczonym domu.

Co to miało znaczyć?

W chwili, gdy po raz setny zadawał sobie to pytanie, nie mogąc znaleźć na nie odpowiedzi, usłyszał w przedpokoju hałas. Słychać było prośby, odgłos walki, przekleństwa i przenikliwy krzyk kobiety:

— Puśćcie mnie! Puśćcie mnie! Mówię, że chcę się widzieć z szefem bezpieczeństwa.

Jednym skokiem p. Ducroc był przy drzwiach i otworzył je gwałtownie.

Do pokoju wpadła młoda kobieta, z zaczerwienioną twarzą, z ubraniem w nieładzie. Dwóch agentów napróżno starało się ją zatrzymać. Ujrawszy pana Ducroc zatrzymała się nagle.

— Co to znaczy? — zapytał urzędnik rozniewany i zdziwiony zarazem. — Co za hałas? Od kiedyż to do mego gabinetu wchodzi się jak do szynku?

— Proszę darować, panie szefie — odparł jeden z agentów — ale to nie nasza wina. Ta szalona chciała widzieć się z panem, powiedzieliśmy jej, że to niemożliwe, wtedy zaczęła nas bić, kopać, drapać, i wdarła się tutaj.

— Co znaczy to dziwne zachowanie się pani? — zapytał szef, marszcząc brwi.

— Znaczy to, iż mam panu powiedzieć rzecz tak ważną, tak niecierpiącą zwłoki, że musiałam zobaczyć się z panem pomimo wszystko.

— Tak? I cóż ma pani tak ważnego do powiedzenia?

Kobieta milczała przez chwilę, chwytając powietrze. Słychać było jej urywany oddech.

— Więc? — zapytał p. Ducroc zniecierpliwiony. Jeszcze brakowało jej tchu. Wachlowała się chusteczką, wreszcie odetchnawszy ostatni raz bardzo głęboko, rzekła słabym, ale stanowczym głosem:

— Jestem współniezką Fabrykanta mumii.

P. Ducroc podskoczył. Gdyby bomba wybuchnęła mu pod nogami, nie wywołałaby tak wielkiego wzruszenia, jak to oznajmienie.

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Dwaj agenci stali nieruchomo z otwartymi ustami, wpatrując się ze zdumieniem w nieznaną.

— Tak — ciągnęła po chwili kobieta, nie zdając się zauważać, jakie wywarła wrażenie, — tak ja jestem tą kobietą o zielonych oczach, której policja poszukuje od tylu miesięcy. Nie trzeba szukać dłużej, przychodzę sama i chcę wydać policji Fabrykanta mumii.

P. Ducroc wahał się. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Czy ta kobieta mówiła prawdę? Ton głosu jej brzmiał tak szczerze, że można było uwierzyć.

Ale z drugiej strony — czy jej patrzyły tak błędnie, że wyglądała na pozbawioną zmysłów.

Widocznie odgadła podejrzenia pana Ducroc, gdyż zawołała:

— Nie, panie szefie bezpieczeństwa... Nie, nie jestem obłąkaną... Przysięgam panu, że mówię czystą prawdę. Ale przecież pan nie może nie poznać mnie, we wszystkich dziennikach była moja fotografia.

Jej fotografia! Pan Ducroc nie dał sobie powtarzać tego dwa razy. Chwycił teczkę ze sprawą Bridgetona i wyjął z niej fotografię, znaną w kieszeni ubrania trupa.

Nie można było wątpić — przedstawiała ona kobietę, która stała przed nim.

— Niech mi pan pozwoli teraz mówić — rzekła, zdenerwowana widocznie temi formalnościami. — I tak straciliśmy już za wiele czasu. Uciekam przed Fabrykantem mumii, który śpieszy za mną, który idzie tutaj...

— Jaktó! — krzyknął p. Ducroc, nie chcąc brać na seryo słów młodej kobiety — nigdy nie uwierzę pani, żeby był tak bezczelny...

— Tak... tak... mówię panu, że idzie... idzie... niech mi pan pozwoli mówić... żebym mogła się zemścić... żebym mogła przynajmniej powiedzieć panu jego nazwisko, jeżeli nie zdążę dać dowodów... Fabrykant mumii to...

Nie dokończyła, głos jej załamał się i przeszedł w chrypienie, jak gdyby ściśnięto ją gwałtownie za gardło. Starła się przemódz to, walczyła...

— Ach! — wyszeptwała z trudnością przerywanym głosem. — Mówiłam panu, że zapóźno, już zapóźno... Ach! ta przeklęta ręka... dusi mnie, nie pozwala mi mówić...

Wskazując palcem drzwi, z rozszerzonymi z przerażenia oczyma, drżąc całym ciałem, ciągnęła:

— Słyszę go... widzę go... zbliża się... jest na schodach... za chwilę wejdzie... oto on!

W tej chwili drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pocziwa twarz starego Bernarda:

— Pan doktor Vanesco zapytuje, czy pan szef zechce go przyjąć.

Na te słowa młoda kobieta wydała przeraźliwy okrzyk i padła na wznak, zemdlna.

Pan Ducroc oszołomiony, stał, nie wiedząc, co począć; zaledwie znalazł siły, żeby wyjąkać rozkaz wprowadzenia gościa.

Doktor Vanesco wszedł.

— O! O! — rzekł, kłaniając się panu Ducroc ze zwykłą swobodą i lekko uśmiechając się — zdaje mi się, że w czas przybywam, żeby ofiarować panu swe usługi.

— Rzeczywiście — odparł tamten, zaczynając przychodzić do siebie — poproszę pana o pomoc, tembardziej, że sceny tego rodzaju są niesłychanie przykre i chciałbym się jak najprędzej pozbyć tej kobiety. Jakaś histeryczka... Niech pan sobie wyobrazi, że przed chwilą twierdziła, iż słyszy i widzi Fabrykanta mumii po przez ściany tego pokoju — jak wchodzi na schody, jak zbliża się do drzwi i... wie pan, kto wszedł?

— Skądżesz mam wiedzieć? — odparł Vanesco najnaturalniej w świecie.

— Pan — odparł pan Ducroc.

Jednocześnie patrzył badawczo na twarz lekarza, chcąc dojrzeć na niej jakieś wzruszenie. Ale zawiódł się — twarz Vanesco była zupełnie spokojna.

— A! — rzekł, śmiejąc się — zbadam z przyjemnością taką pacyentkę. Postaramy przywrócić jej przytomność.

Mówiąc to, wziął na ręce młodą kobietę i posadził ją w fotelu. Chora była bardzo blada, oczy miała przymknięte. Vanesco wyjął zegarek i włożył ją za puls. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— No, nic jej nie będzie... Przeszła atak epileptyczny pod wpływem silnego wzruszenia, obecnie jest w stanie podobnym do omdlenia, spowodowanym wyczerpaniem, które zwykle towarzyszy takim atakom. Kilka kropli eteru lub szklanka wody melisowej postawi ją na nogi... Pan nie ma tu żadnego z tych środków?

— Poślę po nie — odparł pan Ducroc, dając jednemu z agentów polecenie.

— Tak będzie najlepiej — rzekł spokojnie Vanesco. Sądzę, że za kilkanaście minut będzie mogła odpowiadać na pytania, jakie pan jej zechce zadać. Jednakże — dodał — nie radzę panu zbyt jej wierzyć. Ta kobieta jest histeryczką i prawdopodobnie wszystko, co panu powie — będzie poprostu stemkiem kłamstw.

— Sądzi pan? — zapytał p. Ducroc z odcieniem ironii w głosie.

— Niech pan przejrzy parę dzieł o histeryi, a przekona się pan. Histeryczki znane są ze skłonności do kłamania.